ROK 1. WARSZAWA.

Nᴱᴿ 2. Dnia 1/13 Stycznia 1866 r.






# PISMO NIEDZIELNE

## DLA LUDU MIEJSKIEGO I WIEJSKIEGO.



| W WARSZAWIE: | NA PROWINCYI W KRÓLESTWIE: | W CESARSTWIE: |
|---|---|---|
| Rocznie . . rs. 1 k. 80 (Złp. 12). | Rocznie . . rs. 2 k. 44 (Złp. 16 g. 8). | Rocznie (z kopertą) rs. 4 k, 44 (Złp. 29 g. 18). |
| Półrocznie „ — „ 90 (Złp. 6). | Półrocznie „ 1 „ 22 (Złp. 8 „ 4). | Rocznie (bez koperty) rs. 2 k. 44 (Złp. 16 g. 8). |
| Kwartalnie „ — „ 45 (Złp. 3). | Kwartalnie „ — „ 61 (Złp. 4 „ 2). | Półrocznie, połowa tegoż. |



### Nie samym chlebem żyje człowiek . . .

Codzień w pacierzu prosimy Ojca Wszechmocnego, aby nam dał chleb powszedni. I dobrze czynimy, prosząc Boga o środki do życia i o błogosławieństwo w pracy. Choćbyś bowiem najlepiéj uprawił rolę, gdy Bóg deszczu i rosy nie spuści, zamrze ziarno w ziemi. Choćbyś najgorliwiéj siedział przy warsztacie, robota nie pójdzie bez Bożéj pomocy. Dla tego to przechodząc mimo pracujących, powiadamy: „szczęść Boże." Jeżeli tedy tak się troszczymy o to, co ciało żywi i odziewa, jakoż nie mielibyśmy dbać o duszę swoję? Jakóż zaś dbać o nią mamy? Dając jéj chléb, ale nie powszedni, lecz niebieski, jakim jest słowo Boże, czyli Ewangielia. Jak ciało rośnie, ale do wzrostu potrzebuje pokarmu i napoju, to jest chleba, mięsa, wody: tak i dusza rośnie, to jest staje się coraz rozumniejszą, dojrzalszą, ale gdy ją karmiemy nauką. Cóż potém, gdy kto nazbierał pełne stodoły zboża, dużo w skrzyni pieniędzy, jeżeli jest nieukiem, ciemnym, łatwowiernym, nieobyczajnym? Za nic mamy takiego bogacza, który nie umie użyć darów Bożych, a tylko patrzy się na nie jak skąpiec i coraz więcéj zbiera. Pierwszym zatem pokarmem dla duszy jest słowo Boże, a potém nauka.

Nie naprożno to ludzie patrzą na człowieka oświeconego, jakby na jakąś wyższą istotę; rzeczywiście jest on wyższym i trwalsze ma dobra niż pieniądze. Nauki nie spali ogień, nie zabierze woda, a nad wszystkiem innem panuje przygoda. Patrz, jak to człowiek bez nauki wygląda. Oto wyobraź sobie, że sam stoi na świecie, że nie ma ani sierpa, ani siekiery, ani wozu, ani konia obuczonego, ani hebla, ani krosien, ani żadnego słowem narzędzia. Ziemię kopie zaostrzonym kijem, mieszka w jamie niby zwierz jaki, nie może się opędzić drapieżnym zwierzętom, jest pół nagi, wszystko go straszy. Biedniejszy on od zwierza, bo słabszy i długo potrzebuje czyjéjś pomocy.

Ale niechno tylko dostanie siekiérę, pług albo sztrzelbę, wnet staje się możniejszym od wszystkich zwierząt. Bieda nauczyła go myśléć, zastanawiać się, probować i w końcu owładnął całém stworzeniem. Czém się to stało? oto rozum jego walcząc z potrzebą czyli jak mówią z biedą, wywalczył narzędzia i stał się panem tego, co go otacza. Ma tedy już chléb powszedni. Ale dusza jego jeszcze nie wie, co to moje lub twoje, co to szanować żonę i wychowywać dziat-

ki; nie wie, komu to wszystko przypisać, co widzi wkoło siebie. Przychodzi mu więc Pan Bóg do pomocy, objawia mu swoję wolę; powiada do niego: nie kradnij, nie zabijaj, nie mów fałszywego świadectwa; kochaj bliźniego jak siebie samego. A tak powoli człowiek wzrasta w duchu, mężnieje, wchodzi w stosunki z bliźniemi i oto powstała wieś, miasto, gmina, powiat i królestwo. Gdyby nie to słowo Boże, gdyby nie nauka drugich, człowiek wiecznieby został niemowlęciem i dzikim. Ceńmyż słowo Boże i naukę, bo niemi żyje dusza nasza, a prosząc o chléb dla ciała, nie zapominajmy o chlebie dla duszy.

---

## BODAJ WAS!

Bóg stworzył dla wszystkich świat piękny, a przecie
Są tacy, co myślą, że dla nich na świecie
Jedynie lśni słońce, ich ziemia, ich morze,
Ich gwiazdy, ich niebo.... bodaj was—o Boże!

*

A jeden drugiego to skubie, bezcześci,
Że czasem aż rety! trza krzyknąć z boleści.
A przecież nie na to dał Pan Bóg nam życie,
By człekiem być w oczy, a zwierzem być skrycie.
Świat wielki, Bóg większy: bo w garści go trzyma;
U Niego tam pychy ni złości tam nie ma.
Na tamten świat skarbów nikt zabrać nie może,
Więc po co zawziętość?.... bodaj was—o Boże!

*

Słowiczek w gaiku swe piosnki zawodzi,
Wśród puszczy zwierz wszelki gdzie zechce to chodzi;
A człowiek to niby rozumny! a chroma;
Lub zdrowe masz nogi—żeś człowiek, siedź doma.
Czy głodem przymierasz, czyś zjadł co do syta,
—A głodnyś? co jadłeś? wnet drugi się pyta.
Po pracy spisz sobie upadlszy na łoże,
Ich korcą sny twoje.... bodaj was — o Boże!

*

Jak słońce zagaśnie, noc w gwiazdy zamruga,
Przy wiosce dąbrowa, staw z młynem i struga;
Gdy huczy młyn sobie, wiatr szumi w dąbrowie,
To huczy i szumi człekowi też w głowie:
Bo życie markotne, gdy niby człek wszelki
Jednaki, a w świecie za ciasno—ścisk wielki.
Ten ciągnie, ten spycha, ten gnie się w pokorze,—
A zgoda! a miłość!.... bodaj was—o Boże!

*Alexander O.*

## POGADANKA.

**O Świecie, i o wszystkich rzeczach, które na nim są.**

*Niebo, Słońce, Dzień i Noc, nieco o Ziemi i o Koperniku.*

---

Przed schludnym domkiem nauczyciela wiejskiego, we wsi Popowicach w Kaliskiem, zbierała się gromadka ludu co Niedzielę i Święto po nieszporach na pogadanki, które nie raz przeciągały się aż do saméj wieczerzy. Nauczyciel, mężczyzna w średnim wieku, bardzo był lubianym przez całą gromadę, bo nietylko, że im dzieci dobrze uczył w szkółce swojéj, ale jeszcze rad był z rodzicami ich pogawędzić o różnych pożytecznych rzeczach, których się albo z książek, albo od mądrych ludzi w świecie nauczył. Nauczyciel mieszkał już od lat kilku w téj wiosce, i dla tego téż młode lipki, które posadził około szkółki, miały czas dosyć pięknie się rozgałęzić i podrość. Pod temito lipkami, na kamieniach i na ławeczkach przed domem, siadali ciekawi ludzie i słuchali, co im nauczyciel prawił.

Pomiędzy gospodarzami i parobczakami, było kilku piśmiennych, którzy nietylko czytali elementarze i książki od nabożeństwa, ale jeszcze i inne dobre książki przeszły już przez ich ręce. Najwięcéj z nich byli rozgarniętémi: Tomek Skiba gospodarz, Grzela Rospendek młody parobczak, i Franciszek Sajenka, który chociaż tylko na jedno oko patrzał, ale więcéj widział i wiedział od niejednych, co po dwoje ócz mieli; bo przyglądał się wszystkiemu z ciekawością, wczytywał się bacznie i z rozwagą w książki, jakie czasem czyto od księdza Proboszcza, od Organisty lub od samego pana Nauczyciela dostał. A nie stracił on oka od żadnych zbytków, tylko przy wielkim pożarze, kiedy chałupy sąsiadów ratując, końcem spadniętéj łaty wybił je sobie nieborak! Ci trzej ludzie więcéj i śmieléj się wdawali w rozmowę z Nauczycielem, że trochę więcéj od drugich wiedzieli; i nie byli jak to mówią: „by tabaka w rogu.”

Kiedy się już zgromadzili jak zwykle przed domkiem, szła rozmowa o kazaniu, które w tę Niedzielę słyszeli w kościele. W kazaniu była mowa między innemi o tém, jakto Bóg Wszechmocny z niczego stworzył świat ten cały, to słońce, co niby tak malutkie a całą ziemię sze-

roką ogrzewa i oświeca,—ten miesiąc, który tak ziemi się pilnuje i ciemności nocne swém światłem przebija,—i te gwiazdy, co niby nie zagasłe świece pomagają księżycowi świecić nad nami po nocach. I była jeszcze mowa o ziemi, co na sobie tyle mórz, rzek, jezior, gór, drzew, zwierząt i tyle luda nosi i żywi. A wszystkiego tego człowiek na swoją korzyść używa, i mimo téj wielkiéj dobroci Bożéj, często zapomina o wdzięczności ku Stwórcy swojemu i nadyma się nie raz ze swojéj wielkości, a przecież nie jest w mocy zrobić z niczego i najmniejszego ziarneczka piasku i najmniejszéj trawki lub listka na drzewie.

— Że słońce musi być wielkie, to z tego uważać sobie można,—odezwał się Sajenka,— że choć tak jest od nas daleko, a przecież tak grzeje, i oświeca ziemię szeroko: bo jużci małe światełko tak wysoko zawieszone, nie dałoby się nam widzieć, albo też nie grzałoby wcale.

— Święta prawda!—rzekł Rospendek,—że słońce jest wielkie, ale też musi być i wielkie morze, do którego to słońce co wieczór zapada.

— Ale choć ono tak wysoko wisi nad nami,— przerwał Skiba,—to przecież mądry król Salomon doleciał prawie już do niego na gryfie, i gdyby się temu ptakowi skrzydła nie opaliły, to byłby się dostał tam na dobre.

— Ja pamiętam,—odezwał się ktoś z gromadki,—jak słońce biło się raz z miesiącem: nie dało mu wleźć na siebie, ale miesiąc przemógł i do połowy je przywalił sobą i zaciemnił.

— Ale niedługo tam się zabawił,—zagadnął ktoś drugi,—bo czarownica, co na słońcu masło do końca świata klecić musi w kierzni, za to, że w święto je czyniła, zepchnęła miesiąc ze słońca.

Na te słowa powstał śmiech w gromadzie, a najbardziéj uśmiechał się Sajenka i drwił sobie z czarownicy i z tego co plótł tę bajkę.

Nauczyciel umyślnie nie chciał im przerywać, snać, aby się nagadali do woli, aż w końcu tak się odezwał:

— Moi kochani, w tém co Sajenka powiedział o słońcu, jest dosyć i rozsądku i odrobina prawdy, ale co inni z was prawili o morzu, o jakimś gryfie, dziwnym ptaku, którego nie było na świecie, o czarownicach i o owéj bajce z księżycem, to tylko jest powtórzeniem tych bajek, które ciemni ludzie od wieków utroili sobie w głowie. Bo najprzód, wierzci mi, że słońce nie zapada nigdy w morze, tylko my od niego z ziemią się odwracamy, i że nikt na świecie ani o milionową część nie mógł się jeszcze zbliżyć do słońca, a owa bójka niby z księżycem, to się nazywa po prostu zaćmieniem słońca.

— Już to, bez urazy, my tego dobrze nie rozumiemy,—odezwał się Rospendek.

— I mnie się zdaje, że to nie na nasz rozum.

— To téż może Pan Nauczyciel z łaski swojéj nam to wytłómaczy?—rzecze Sajenka.

Odezwały się z prośbą i inne głosy i Pan Nauczyciel tak im zaczął opowiadać o słońcu.

— Bardzo mnie cieszy, poczciwi moi sąsiedzi, że myśl i oczy swoje zwracacie przedewszystkiem ku niebu, ku słońcu, które z woli Bożéj najwięcéj nam dobrodziejstwa na ziemi wyświadcza. Bez światła bowiem i bez ciepła słonecznego, ani ludzie, ani zwierzęta, ani nawet najmniejsza trawka żyćby nie mogły; wszystkoby zlodowaciało na świecie, a ziemia stałaby się grobem powszechnym śród ciągłéj nocy. Dla tego też tak dobroczynny utwór Boski, mocno zajmował ludzi, już prawie od samego początku świata; dziwiono się nad wielkiém gorącem słońca, nad jego niezmiennném pokazywaniem się i znikaniem nad nami w tym ogromnym, niezmierzonym dokoła przestworze, który nazywamy niebem. Otóż różni ciekawi, uczeni ludzie, tak zwani astronomowie, zastanawiając się nad tém, doszli do tego przeświadczenia po tysiącach lat dochodzeń i obliczeń spisywanych ciągle, że słońce daleko—daleko jest większe od ziemi, bo przeszło milion razy, to jest tysiąc tysięcy razy tak wielkie jak nasza ziemia; i że od ziemi odległe jest przeszło dwadzieścia milionów mil. Obliczyli też uczeni, że promień ze słońca dopiero w 8 minut dochodzi do naszego oka, i że jeśliby kto ze słońca spuścił kulę armatnią, to potrzebowałaby przez 15 lat spadać, nimby się dostała na naszą ziemię. Tak moi kochani, to jest zdumiewająca odległość, nieprawdaż?

A więc kiedy słońce jest tak wielkiém, tak wspaniałém, to czyż można sądzić, że ono tylko dla tak drobniuchnéj ziemi miałoby się pokazywać i znikać, i obsługiwać ją swém światłem i ciepłem? Nie, zaprawdę! wszyscy już choćby trochę uczeni ludzie, wiedzą o tém dobrze, że nie słońce około ziemi, ale ziemia około słońca obracać się musi.

— To już trudno zrozumieć,—odezwał się

zakłopotany Rospendek,—i dziwno mi bardzo, zkąd ludzie mogli się tego nauczyć?

— Opowiem wam o tém,—rzekł Nauczyciel, —jak będę mógł najlepiéj. Otóż wszyscy prawie pamiętacie, jak przed kilkunastu latami, astronomowie co do dnia, co do godziny i co do minuty nawet przepowiedzieli, że słońce wtedy a wtedy zaćmi się całe na chwilę, i pamiętacie też zapewne ową kometę z wielkim ogonem, co to z taką trwogą spodziewali się jéj ludzie latem w 1858 roku?

— O! pamiętamy to dobrze,—odezwało się kilka głosów,—czekaliśmy téj godziny ze strachem.

— A więc pokazuje się, że nauka coś znaczy na świecie, kiedy takie rzeczy uczeni ludzie na długo wpierw przewidzieć mogli. Ale posłuchajcie mnie daléj. Nie tak zbyt dawno, bo dopiero od niecałych 400tu lat, ludzie się przekonali, że nie słońce około ziemi, ale ziemia kręcić się musi około słońca. Tym uczonym, co tak wielkie odkrycie zrobił, i o niém wszystkich przekonał, był nasz rodak Mikołaj Kopernik, sławny astronom, co się najprzód w Krakowskich szkołach nauki o gwiazdach i o słońcu uczył, i który ma swój pomnik w Warszawie. Żebyście to dobrze mogli zrozumiéć, to wam objaśnię, że tak ziemia, księżyc, jak i słońce są to niesłychanie ogromne kule, które rzucone w świat z woli Bożéj krążą zawsze po jednéj drodze i nigdy się nie spotkają z sobą. Któż z nas zrozumieć i pojąć to może, jak ten świat jest wielkim, kto z nas się domyśleć nawet może, gdzie jest jego początek, a gdzie koniec? Czujemy tylko i widzimy, że cały ten bezdenny przestwór niebieski jest niezmiernie ogromnym, że za chmurami jest księżyc, za księżycem gwiazdy, a za gwiazdami nieskończoność, głębia bez końca...., nauka przytém nam pokazuje, że ziemia jest tylko małym proszkiem téj nieskończoności.

Kiedy spojrzymy na słońce, gdy jest za bladą chmurką, że nie razi nam oczu, to widzimy jasny krąg jego; a ludzie uczeni przekonali się jeszcze, że jest ono jak okrąglutka kula. Kula ta obraca się prawie jakby w miejscu, a ziemia do koła niéj okręca się w ciągu roku jednego, to jest przez 365 dni. Żeby słońce obróciło się około siebie raz jeden, potrzeba na to dni 25 i pół, ziemia zaś okręca się w miejscu prędzéj, bo przez jedną dobę tylko, czyli przez 24 godzin. Kiedy się ziemia odwróci ku słońcu, to mamy tutaj dzień, a jak od słońca, to noc, i dla tego to jak się z ziemią odwracamy na noc od słońca, to nam się zdaje, że to słońce się zniża, chociaż tak nie jest; kiedy się znowu wychylimy na wierzch, to widzimy napowrót słońce z rana na wschodzie. Ale ludzie nauczyli się już od dawna mówić: słońce wschodzi, słońce zachodzi,— więc i powtarzają tak ciągle, i nic to nie szkodzi, bo to jakoś poręczniéj powiedzieć, tylko trzeba rzecz dobrze rozumieć.

— Oj, układa mi się to jakoś w głowie,— przerwał Sajenka,—bo na ten przykład jak się zdarzy w misce wody zamieszać razem drobne gałki z naci kartoflanéj (bajdurki) z większemi, to te drobne zawsze się prędzéj i szerszem kołem obracają, a te duże kręcą się też trochę, ale prawie na miejscu; tak to i słońce, że jest bardzo wielkie, a ziemia że jest tak malutka, podobnie się kręcić muszą... To ja sobie już uważam..., tylko tego nie wiem jeszcze, jak to ludzie mogli się dowiedzieć, że to słońce jest okrągłe i do tego wygląda jak kula ogromna? Lub, jak też to ludzie mogą się utrzymać na ziemi, kiedy ona się przewala z niemi na około słońca?

— Powoli! powoli!—rzekł Nauczyciel,—na raz o wielu rzeczach nauczyć was nie mogę; to też najprzód dokończę wam o téj kulistości słońca. Otóż przez wiele, wiele lat pracowali ludzie nad tém; już to za pomocą rozmaitych spostrzeżeń i znaków zapisywanych do ksiąg, już też przy pomocy szkieł takich, które i sześć tysięcy razą powiększają każdą rzecz, jak się przez nie patrzy, aż się przekonali w końcu, że słońce jest kulą. Szkła takie powiększające, wypukłe, obsadzone w wielkie rury, są zielone lub niebieskie, żeby oka nie raziły, jak się patrzy na słońce, a nazywają się *teleskopy*, czyli *dalekowidy*. Przez nie to dostrzegli astronomowie, że i „słońce ma plamy”, i że te plamy ciemne obracają się zawsze ze słońcem ku wschodniéj stronie, i nikną, a po upływie 25 i pół dni, z drugiéj strony słońca od zachodu zawsze się pokazują; a więc jest dowód z obrotu tych plam, że one nie mogą być na płaskiém kole, ale na kuli, która się obraca wciąż koło siebie i znowu w otchłań niebieską bieży, bo żaden twór niebieski nieruchawym być nie może,—taka już była wola Boża, a dla nas nauka, że w odrętwiałości żyć i nam nie można. To samo słońce ciągnąc za sobą ziemię naszą, musi się znowu oko-

ło innego większego słońca swojego obracać, a które tak jeszcze głębiéj tkwi w niebieskiéj przestrzeni, że nam się zdaje tylko gwiazdką błyszczącą, jakby łepek od śpilki; boć przekonano się już i o tém, że wielkie mnóstwo jest gwiazd na niebie, które znowu są słońcami dla innych światów i dla takich ziem jak nasza. Pomyślmyż sobie: cóż to za dziwna, niezmierzona potęga i mądrość Boga Stworzyciela, który milionom tych tworów niebieskich tak niechybne drogi przeznaczył, że krążąc tam wysoko, nigdy nie zawadzą o siebie!

Ale żeby skończyć o słońcu, to trzeba wam jeszcze wiedziéć, że nie jest ono wcale rozpaloną kulą, jakby się to mogło zdawać napozór. Przekonano się przeciwnie, że słońce jest z tego samego rodzaju ciał, czyli tworów świata jak nasza ziemia, a więc że samo z siebie jest ciemne, a tylko do koła siebie ma płomieniste powietrze, czyli gazy, które swemi promieniami tak naszą ziemię oświecają i ogrzewają. Promienie zaś te tylko przy zetknięciu się z naszém powietrzem ziemskiém sprawiają dopiero ciepło i gorąco, a bliżéj słońca są one zimne.

— A jak to być może! — zagadnął Sajenka, — przecież im bliżéj ognia, tém większe gorąco?

— Tak, — rzekł Nauczyciel, — ale promienie słońca nie są wcale podobne do naszego ziemskiego ognia. Żeby wam to choć w części objaśnić, to weźcie sobie tylko to na uwagę, że na bardzo wysokich wierzchołkach gór w obcych krajach, ba! nawet i na naszych Karpatach za Krakowem, śnieg albo późno w lecie, albo też nigdy nie topnieje, choć przecież wierzchołki te bliższe są słońca niż dolina. A więc i w tém dowód, że promienie słońca nie tam wysoko nad nami, ale tylko przy zetknięciu się z powietrzem, które ziemię otacza, rozgrzewają się, a przeto i ocieplają ziemię. Jeżeli promienie te, jak w ciepłych krajach, spadają ze słońca prosto ludziom na głowy, to wtedy na ziemi jest bardzo gorąco, a jeżeli spadają pochyło, z boku, to ludziom jest zimniéj na ziemi, jak naprzykład u nas w Polsce, w zimie, a jeszcze zimniéj jest tam, gdzie słońce zupełnie pochyło i bardzo krótko rzuca promienie na ziemię. Ale, oto już dzwonią z wieży kościołka na *Anioł-Pański;* czas nam wszystkim iść na wieczerzę; a na przyszłą niedzielę znowu was zapraszam do dalszéj rozmowy o tych różnych dziełach rąk Bożych.

Po tych słowach sąsiedzi i Nauczyciel, z odkrytą głową szepcząc słowa „Pozdrowienia Anielskiego”, rozeszli się do domów.

## WIELE RZEMIOSŁ A W KOŃCU ŻEBRACTWO.

### POWIASTKA.

Było-to w mieście Tarnowie, leżącém nad rzeczką Białą, wpadającą do Dunajca w Galicyi, do którego przybywszy na dłuższe mieszkanie, zapotrzebowałem takiego służącego, coby miał staranie około mojéj odzieży i obuwia, oraz ułatwiał mi różne posyłki. Dopytuję się więc tu i owdzie, a wszędzie mówią, że w tém najlepiéj mi wygodzi szewc Skarga. Posyłam po niego. Nie upłynęło i pięciu minut, a już stał przedemną małego wzrostu mężczyzna, w długiéj czamarze bez kamizelki i chustki na szyi, których snadź zapomniał z pośpiechu. Pozdrowił mnie jakby dawnego znajomego, i — uprzejmie zapytał co rozkażę. Na pytanie, czy potrafi zadosyć uczynić wskazanym obowiązkom, odpowiedział: „Zobaczymy.” Gdym mu wspomniał o wynagrodzeniu i spytał, ile żąda tygodniowo lub miesięcznie, odrzekł: „O tém potém pomówiemy — i zabrawszy suknie i bóty odszedł do domu.

Wkrótce Skarga odniósł wszystko porządnie zrobione, a dostrzegłszy, że nie mam zzuwadła, oświadczył, iż zaraz mi je zrobi — i rzeczywiście tego jeszcze dnia przyniósł tak zwanego, *chłopca do bótów.* Wynagrodzenia za niego nie chciał przyjąć, chlubiąc się tylko, że wszystko potrafi zrobić, na co się jeno spojrzy. Wprawdzie zzuwadło nie było kształtne i źle wygładzone, a szwy na przyszczypce u bóta nierówne; widać jednak było, że Skarga umie to i owo, zna się nie tylko na szewstwie, ale i na stolarce. Późniéj przekonałem się, że znał i inne jeszcze rzemiosła; szewstwa nie prowadził stale: mówiono nawet, że jeszcze nigdy nie zrobił porządnego trzewika; nie mógł bowiem długo wysiedzieć na miejscu. Lubił tylko naprawki, a te udawały mu się najlepiéj u pantofli. Niekiedy jednak i ta praca mu się przykrzyła; porzucał ją więc chętnie dla każdéj innéj, a każde nowe zatrudnienie zdawało mu się zawsze lżejszém i przyjemniejszém. Bardzo chętnie chodził do lasu po łozinę, znosił je do domu i plótł kosze, ko-

szyki i inne różne koszykarskie drobnostki. Kosze i miotły kupowało od niego całe miasto, i gdyby był zamiłował to rzemiosło, mógłby miéć stały i dobry zarobek. Ale nastała pora łowienia ptastwa. Skarga wziął się do klatek. Raniutko bywał już przy potrzaskach i na południe dopiéro wracał do domu. Po obiedzie roznosił ptaki na sprzedaż; niesprzedane zaś dusił i tuzinami sprzedawał na stół zamożniejszych osób. Podobnież chętnie łowił ryby i raki: biegał po nad rzeką z wędką lub zakładał bębenki; ciągając siéć za sobą lub wybierając raki z nór i z pod kamieni, brodził w wodzie całemi dniami, a niekiedy i nocą przy gorejącém łuczywie. Szczęście mu sprzyjało, lecz nie tyle, aby z tego mógł się utrzymać z żoną i dziećmi: rybki i raczki nie opłacały strawionego na to czasu. Umyślił tedy spróbować innego sposobu do życia: przyjął obowiązki nocnego stróża, ale tylko na pół roku. Następnie został pocztowym roznosicielem: biegał codziennie ze skórzaną teką zawieszoną przez ramię, a w wolnym czasie pobijał dachy dranicami lub gontami, poszywał strzechy słomą, budował płoty lub wylepiał piece; w sobotę zaś golił brody i strzygł włosy, strugał nawet fajeczki na sprzedaż.

W całéj okolicy nikt nie umiał lepiéj hodować gołębi jak Skarga; rozmnażał je i kupczył niemi. Ale co większa! potrafił wyrabiać i wyborne kiszki z wątroby, na które miał nie mały odbyt w zapusty, ale tylko w zapusty.

Skarga wszystko umiał, wszystko robił i we wszystkiém mu się wiodło, lecz tylko z początku i jakoś niedługo. Rzecz się miała podobnie i u mnie ze służbą. Początkowo wykonywał poruczone sobie obowiązki gorliwie i dokładnie; późniéj mniéj dobrze, a następnie lada jako oczyszczone przynosił mi suknie i licho naprawione obuwie, albo wcale się nie pokazywał przez dni kilka z rzędu, zapewne z powodu połowu ryb i raków, lub z przyczyny wycieczki na jaki targ do sąsiedniego miasteczka z fajeczkami. W końcu, często gęsto dawał się zastępować najstarszemu synowi, który nigdy na czas nie przychodził i nic nie zrobił w porę.

Niewątpliwa pracowitość i zabiegliwość tego człowieka, a mimo to ubóstwo, zwróciły moją uwagę i zachęciły do bliższego poznania jego przeszłości.

*

Skarga nie był rodem z Tarnowa, lecz ze wsi Dąbrowy, o trzy mile, gdzie ojciec jego był dosyć zamożnym rolnikiem. Będąc jeszcze chłopięciem, już nie lubił zajmować się długo jedną rzeczą; w żadnéj pracy lub zajęciu nie mógł wytrwać czas dłuższy. Jeżeli mu się nie udało co od razu, to porzucał rzecz tę nazawsze.

W szkole był wartogłowem; żadnego zadania naukowego nigdy się nie nauczył dokładnie. Nie miał upodobania w żadnéj zabawie lub grze, właściwéj dzieciom. Lubił wprawdzie wszystkie, ale tylko na chwilę, natychmiast porzucał piérwszą dla drugiéj, a od téj, choćby w chwili jéj zaczęcia, przechodził do innéj nowéj. Przeszedłszy wszystkie, puszczał się samopas. Nauczyciel często go strofował: *Ej! Skargo, Skargo! źle wyjdziesz na tém. Jak będziesz na swoim chlebie, niedostawać ci będzie wytrwałości; niestałością grzeszyć będziesz.* Atoli upomnień tych nie słuchał, jak to zwykle bywa niestety! Nauczywszy się trochę czytać, jeszcze mniéj pisać i rachować, opuścił szkołę w dwunastym roku życia, ciesząc się nadzieją, że teraz będzie mógł prowadzić swobodne życie.

Przytém wszystkiém, przyznać jednak należy, że Przemysław Skarga nie był niedołęgą, owszem, sprytny co się nazywa. Wystrugać coś z drzewa cygankiem lub kozikiem, było dlań fraszką; upleść rzemienny batożek lub koszyk z sitowia, nic łatwiejszego! Skakać jak zając, chlustać na drzewo jak wiewiórka, a i ślizgać się na jednéj nodze, tak dobrze w kucki jak w tył i naprzód, oraz pływać jak żaba, było dla niego zwyczajną rzeczą. Tego wszystkiego nikt go nie uczył: przyszło to jakoś samo z siebie, tylko w tém biéda, że ćwiczył się w tém wszystkiém właśnie wtedy, kiedy miał sobie poruczoném zrobić coś śpiesznie potrzebnego i użytecznego.

W robotach polnych nie miał upodobania; nawet kośby i żniwa nie lubił. Bydło chętnie pasał, ale mało dbał o nie, zajmując się tém lub owém wedle upodobania. Orkę i młockę, sadzenie i okopywanie, uważał za straszną uciążliwość, i zanim jeszcze przyszedł do lat odpowiednich do téj pracy, wciąż nad tém przemyśliwał, jakimby się sposobem wykpić od tego. Nie chciał więc zostać jak ojciec rolnikiem, ale postanowił sobie poświęcić się rzemiosłu. Wybrał krawiectwo, powiedziawszy sobie, że krawiec nie potrzebuje ciężko pracować. Siedzenie jednak i jednostajność pracy, zbrzydła mu wkrótce. Niedbałe wy-

konywanie danéj roboty, ściągało nań często naganę; wolał więc odnosić gotową, aby przy téj sposobności pobaraszkować po ulicy.

Razu jednego, zabałamuciwszy się za domem zbyt długo, zasłużył na karę. Zaczął się więc przypodchlebiać pani majstrowéj domowemi posługami. Rad był, gdy mógł poniańczyć dziecko, przynieść drewek, wylepić piec lub w nim zapalić; poskoczyć do kupca lub przekupki, chociaż poczciwy majster zabraniał mu tego, mawiając, że go przyjął na ucznia a nie na służącego. Nakoniec kiedy go zapędzono stanowczo do pracy, zmartwiony do żywego, zaczął się skarżyć przed rodzicami, że u krawca nie może wytrzymać, a gdy mu rodzice zalecali cierpliwość, oświadczył, że do krawiectwa nie ma powołania, i prosił, aby go oddali na naukę stolarstwa.

Upłynęło ćwierć roku, zanim go przyjął pewien stolarz. Z początku szło wszystko dobrze. Rad z siebie Przemysławek, chętnie piłował i wiercił, heblował i kleił, chwaląc sobie nowe rzemiosło, że nie potrzebuje siedzieć przy robocie. Ciągłe kręcenie się, noszenie i ciągnienie, wielce go cieszyło. Majster był z niego zadowolniony, a że był to człowiek światły i pobożny, posyłał go więc do kościoła i szkoły, pilnując przytém, aby się nie bałamucił po drodze. Nie miał więc i tu tyle czasu nasz Przemysław Skarga, ile pragnął sobie. Z razu przypisywał w tém winę majstrowi, a potém stolarstwu; w końcu zaś przyszedł do tego przekonania, że i to rzemiosło nic nie warte. Krył się z tém jednak, lecz już mu się nie podobało tak miłe niedawno krzątanie się z heblem lub klejem, noszenie tarcic i gotowych różnych sprzętów. Spokojne siedzenie za stołem u krawca zaczęło mu się wydawać przyjemniejszém, nie tak utrudzającém. Coraz bardziéj zaniedbywał się w pracy, aż majster zagroził mu, że go odeśle do rodziców. Aby zapobiedz temu, zebrał swe manatki, związał je i wyniósł się cichaczem. Przybywszy do domu począł się usprawiedliwiać, iż z ciężkiéj nad siły pracy, cierpi kłucie w piersiach, i że musi obrać sobie inne lżejsze rzemiosło.

Długo nic się nie zdarzało łatwiejszego, żył więc jak ptak: robił co chciał, i Bóg wié jak długo takby próżnował, gdyby nareszcie przyjaciele i sąsiedzi nie zwrócili byli na to uwagi jego rodziców, że z niego nic nie będzie, jeśli go nie oddadzą gdzie do terminu. Zmusili go więc rodzice, do obrania sobie nareszcie jakiego rzemiosła. Wybrał sobie szewstwo. O majstrze sam się nawet wywiedział i jakoś wytrwał w terminie. Został czeladnikiem. Ale był to termin bardzo lekki: używano go do różnych robót tylko, nie do szydła; majstrowa zaś za piastunkę, a czeladnik za posługacza. Od szkoły wykpiwał się za pomocą p. majstra i p. majstrowéj. Laleczki i młyneczki, świstawki i inne zabawki, jakie robił dla majstrowskich dzieci, więcéj mu zyskiwały pochwał, aniżeli nowy but lub trzewik. Jeśli mu się zachciało biegać po polu lub lesie, brał z sobą majstrowskiego synka — i tak jakoś z dnia na dzień szło życie wesoło. Nie tęgo się więc znał na robocie, mimo to wyzwolił się jakoś i puścił się w świat, udając dobrego rzemieślnika, choć był tylko prostym partaczem.—Jak mu się to powiodło, zobaczymy następnie w dokończeniu powiastki.

## HISTORYA O SZEWCU HEROSTRACIE.

Na jakie dobre paręset lat przed Narodzeniem Pana Jezusa, w mieście Efezie, gdzie teraz Turecczyzna, znajdowała się świątynia pogańska. Gmaszysko było okrutne, a bogactwa w środku, od złota, srebra, marmuru, kości słoniowéj, kamieni drogich, że i nie policzyć. Tak to tam pogaństwo, nie znające jeszcze wiary Świętéj Chrześcijańskiéj, znosiło, co miało najdroższego swojemu niememu cielcowi, którego ustawili w świątyni, myśląc, że to Bóg Prawdziwy. Dosyć powiedzieć, że aż tę świątynię policzono między cuda, jakich na cały świat było tylko siedm. Schodzili się ludzie, wie-go Bóg nie zkąd, dziwować się temu zbytkowi w kosztownościach wszelkich.

Otóż w tym Efezie mieszkał szewc niejaki nazwiskiem Herostrat. Próżniaczyna, Boże odpuść! Zamiast żebyto pilnował kopyta a dratwy — gdzie! — po całych dniach wałęsał się tylko; z próżniactwa, pomięszało mu się w głowie, że zaczął myśléć o tém: jakby to on zrobił co sławnego, żeby aż o nim gadano po świecie, tak niby jak o téj świątyni. Co komu z téj gadaniny! Być uczciwym, słownym, rzetelnym rzemieślnikiem, przykładnym dla swojéj czeladzi majstrem, dobrym mężem i ojcem, pożytecznym kraju swojego obywatelem — oto dobra sława, lepsza nad

wszelkie ludzkie gadania. Albo to z głośności człowiek urasta?—toć przecie nie o sobie tylko myśléć ma, lecz i o drugich. Ale cała ta mądrość nie w smak była Herostratowi. Przysiedzieć fałdów nie lubił, a co się wziął do roboty, to zwykle spartolił, że aż wstyd było drugim za niego. Myśli sobie:—nic dobrego zrobić nie umiem, a co zrobię złego, i to jeszcze mało kto wie i o tém. Muszę choć zbroić coś potężnie, to się o mnie wszyscy dowiedzą. Ale coby tu takiego? Myślał przeróżnie, aż wreszcie rzekł:—ot już wiem. Sławną jest ta świątynia na świat cały—otóż jeżeli ją zniszczę, imię moje rozniesie się także po świecie całym.—Jak to sobie powiedział, tak zrobił.—Jedną razą rwetes po mieście—gwałt!—świątynia się pali! Lecą zewsząd ratować—gdzie!—ani sposobu.—Zgorzała ze szczętem.—Tak dopiéro zeszedł sąd—dochodzą sprawy. Ktoś widział Herostrata, jak się późną nocą skradał z pochodnią ku świątyni.—Chodź-no tu bratku:—ty to zrobiłeś?—Ja.—Dla czego?—Chciałem się wsławić.—A! toś ty taki ptaszek,—to ty tak rozumiesz sławę?—Rada w radę, wydano na niego wyrok śmierci. Ale nie dosyć na tém. Ponieważ mu szło o to, żeby o nim gadano, więc sąd zabronił pod najsurowszemi karami wspominać kiedykolwiek jego nazwisko.—Ale ludzie, jak ludzie—nie utrzymali języka. Szczęściem i tak jeszcze nie wyszło mu to na dobre. Bo do dziś dnia (a już przeszło dwa tysiące lat od tego czasu), Herostratem nazywają ludzie każdego, kto przez podłe sobkostwo zniszczy jakie piękne wiekopomne dzieło.

Wspominamy tu, że do tego to miasta Efezu, w pięćset lat późniéj przyszedł Święty Paweł, i tak wiele tam ludzi nawrócił do prawdziwéj wiary, że doprawdy aż radość wspomniéć. I ludziska to byli poczciwi, ci nowonawróceni, tak, że Święty Apostoł aż z więzienia pisał do nich list osobny, przesyłając im błogosławieństwo.—Ale w kilkaset lat potém przyszli Turcy, i znowu Chwała Boska ucierpiała, ale tylko do czasu, bo Bóg zawsze na końcu tryumfować musi. *Felicyan.*

## WAŻNIEJSZE ZDARZENIA.

### Tyfus u bydła rogatego.

Boże zachowaj nas od klęsk wszelkich, jednakże każda z nich przyjść i dotknąć nas może, skoro tak zechcą niezbadane Opatrzności wyroki, a człek na wszelki wypadek gotowym być powinien. We Francyi panuje obecnie straszna zaraza na rogaciznę; jest to gorączka tyfusem zwana, na jaką i ludzie często zapadają, a ponieważ choroba ta najczęściéj śmiertelną bywa, a zaraźliwą jest zawsze, łatwo sobie przeto wyobrazić, jakie to ona zniszczenie w stadach sprawić musiała.

Wieśniak pewien francuzki wynalazł środek, jak się zdaje skuteczny, zapobieżenia temu strasznemu nieszczęściu i wynalazek swój przedstawił do uznania szkole lekarskiéj.

Sposób ten zależy na zaszczepieniu zdrowemu bydlęciu śliny pochodzącéj od sztuki tyfusem dotkniętéj, przez nacięcie niewielkiéj ranki na łydce i wpuszczenie w nią rzeczonéj śliny,—to jest zupełnie prawie tak samo, jak szczepi się ospa u owiec i ludzi, za pomocą *wakcyny*, czyli materyi wziętéj od krów chorych na ospę.

Zdarzenie to niechaj będzie przestrogą i wskazówką dla was, kochani czytelnicy, a mianowicie gospodarze rolni; i pomiędzy wami, pewny jestem, znajdzie się nie jeden, co wymyśli coś pożytecznego, boć macie przecie i doświadczenie i zdrowego rozsądku Pan Bóg wam nie odmówił, ale nie wiele czytając, lub całkiem czytać nie umiejąc, niewiecie nieraz, jak sobie z własnym pomysłem poradzić, do kogoby się udać, czyjego zasięgnąć zdania; zapominacie, że są proboszcze, lekarze, nauczyciele,—że i u nas jest szkoła lekarska, że i my posiadamy ludzi uczonych, którzy wiele rzeczy umieją i wiedzą,—że nie tylko francuzki wieśniak ma się do kogo udać po naukę i radę. *I. K.*

## ZAGADKA.

*Co to jest?*

W polu krtało,
W karczmie grało,
Przyszło do dom, zapłakało;
A przez ojców ukochane,
Przez nas często zaniedbane,
Choć nam rade żywić pszczoły,
Stroić domy i kościoły,
I choć zamknie śmierć nam oczy,
Jeszcze sobą nas otoczy?

Znaczenie poprzedniéj zagadki: *Igła z Nitką.*

Redaktor i Wydawca, **Józef Grajnert.**

w Drukarni Gazety Polskiéj. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.